

KRESY
— i —
BEZKRESY

Copyright © by Jadwiga Czechowicz
Copyright to this edition © by Wydawnictwo Prohibita

ISBN:
978-83-65546-02-9

Projekt okładki:
Szymon Pipień
Redakcja i korekta:
Barbara Manińska

Wydawca:
Wydawnictwo PROHIBITA
Paweł Tobała-Pertkiewicz
www.prohibita.pl
wydawnictwo@prohibita.pl
Tel: 22 424 37 36
www.facebook.com/WydawnictwoProhibita

Sprzedaż książki w Internecie:

multibook.pl
KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

*B*abie lato delikatnie kołysało się i snuło w powietrzu, jak wiszące bujawki.

Pogodny czas końca września zwiastował nadchodzącą porę królowania jesieni, a razem z nią kolorów starego złota, mocnej czerwieni, tudzież słonecznych żółci i jasnych odcieni brązów. Łagodne promyki słońka pozwalały cieszyć się pięknem wygrzanej po gorącym lecie przyrody, rozświetlały i dodawały ciepła barwom. Rozłożyste jabłonie, grusze i śliwy, nad podziw obficie owocujące tego roku, dostojnie dźwigały obciążone owocami gałęzie.

Skończył się czas dojrzewania, ziściła się nadzieja na plony i oto przyszedł czas końcowych zbiorów.

W sadzie, pod niską rozłożystą jabłonką, leży wywrócony tykowy koszyk i wysypane z niego, lekko muśnięte czerwienią złote jabłka, kawałek dalej rzucona niedbale biała lniana zapaska. W pobliżu nie widać żywej duszy, jedynie dwa wygrzewające się koty leniwie rozciągnięte na wielkim kamieniu, tuż przy drodze wiodącej od bramy do niskiej chaty strzechą krytej.

Jeździec dosiadający karego konia zatrzymał się przed otwartą bramą, rozejrzał uważnie wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś go widzi, i po chwili wjechał na podwórze. Zaprowadził konia do stajni i zbliżał się już do domu, gdy usłyszał dobiegające przez otwarte drzwi wołanie:

- Ooo..., Jezu mój...

Mężczyzna, zatrwożony, szybko wbiegł do środka.

W izbie kuchennej, przytrzymując się stojącego przed nią stoł-
ka, klęczała młoda kobieta w stanie błogosławionym.

- Boże mój, Łucyjko - zawołał mężczyzna - to już?! Wybacz mi...

Wyraźnie umęczona kobieta, bladziutka na twarzy, mimo cier-
pienia delikatnie się uśmiechnęła:

- Janie..., jestem gotowa. Dzięki Bogu, już jesteś.

- Co mam robić?! - Jan był wyraźnie przerażony.

- Pomóż mi wstać, chcę się położyć.

Jeszcze tej nocy, pod wygwieżdżonym niebem Wileńszczyzny,
przyszedł na świat pierworodny syn Łucji i Jana Olsiewiczów, które-
mu dano na imię Józef, a było to w 1870 roku.

* * *

Czuł, jakby wszystkie smutki świata całego jego samego przywa-
liły. Zwykle nie myślał o sobie, widział cierpienie innych ludzi, rozu-
miał je, współczuł i starał się ze swojej strony pomóc, ile mógł tym,
którzy mają ciężej, ale właśnie dzisiaj Józef nie potrafił oderwać się
od poczucia boleści i samotności, jaka go dosięgła.

Umarła matka, ta najukochańsza, najtroskliwsza, powierniczka
i ratunek w każdej potrzebie i o każdym czasie.

Okres ostatnich trzech miesięcy był czasem walki o jej życie,
czasem jej cierpienia i jej umierania.

Każdy dzień zaczynał się i kończył lękiem i niepewnością, czy
zrobił wszystko, co powinien. Noce długie, ciemne, niekończące się
nie przynosiły ulgi, podwajały jedynie lęki. Pomimo zmęczenia czu-
wał przy niej, bo uważał, że tak powinien robić, chciał być dla niej
na każde zawołanie. Miał dopiero szesnaście lat, ale nie wiedział,
co to znaczy wiek młodzieńczy, był dorosły, bardzo dorosły i odpo-
wiedzialny. Ojciec zmarł dwa lata temu. Kiedy nagle przyszła cho-

roba matki, jej siostra wzięła do siebie jego małe młodsze siostry – Agatę, Elżbietę i Paulinkę. Ciężar cierpienia matki dźwigał sam.

Lekarz przestał przychodzić, nie dawał chorej szans i wyraźnie mu to oznajmił. Gdy czasem zaglądnał kto do nich, nie umiał być długo, szybko uciekał, nie radząc sobie z widokiem przytłaczającego cierpienia. Prawdą jest też, że nikt, choćby i najbardziej chciał, nie mógł im pomóc, bo też jak? Bywały dni, gdy chora czuła się lepiej i wtedy pojawiała się iskierka nadziei, że może lekarz nie miał racji, niestety zwykle takie chwile trwały krótko. Najgorsze było to, że i Józef nie umiał jej pomóc, cokolwiek by robił. Karmił ją, przygotowywał jedzenie lekkie, delikatne, a ona patrzyła mu w oczy i widział w nich zdziwienie, że to, co jej daje, jest mało jadalne. Zastanawiał się, czy lepiej, żeby jadła, czy lepiej, żeby głodowała, bo wewnątrz było chore i w każdym wypadku cierpiała. Nikt mu nie doradzał, nikt nie podpowiadał, a sam często nie wiedział, jak postępować. Bywało, że leżąc już do snu, przyglądał się jej zmaganiom i modlił o to, żeby chociaż część cierpień mógł za matkę ponieść. Błagał Boga o pomoc, o ulżenie jej w cierpieniu, a dla siebie o wytrwanie i cierpliwość. Modlił się przy niej na głos i widział, jak jej wargi bezgłośnie się poruszają, wiedział, że tak jest jej lżej, że modlitwa głośna jest wysiłkiem. Później modliła się milcząco i tak już było do śmierci. Nie mówił nikomu, jak umierała, wszystko zachował dla siebie. Starał się myśleć, że Bóg wybrał dla niej to, co najlepsze, że już nie cierpi, i że już doszła tam, gdzie jest szczęśliwa, ale dzisiaj, kiedy ją pochował, zaczął się lękać samotności w świecie i nieodwracalności wydarzeń. Żał, że odeszła ukochana matka i nie padnie do jej kolan, i rąk spracowanych nie ucałuje, że nie będzie miał już nikogo, kto się o niego zatroszczy i nad nim samym czuwać będzie. Żał bolesny ogarnął całą jego istotę i po raz pierwszy zaszłochał, a płacz rozdzierał mu serce i ujawniał wielkość strapienia, które w sobie nagromadził. Szloch targał jego ciałem i dech zapierał, a Józef popadał w coraz większą niemoc. Wylał ze łzami cały swój smutek, całe cierpienie i gorycz

przeżytych ciężkich chwil. Wtulił się zmęczony w pierzynę i łkając jeszcze, powoli zasnął. Nikt inny, tylko sam Bóg przysłał mu na pocieszenie i ukojenie sen dobry i pełen miłości. Czuł, jak za ręce biorą go rodzice i unoszą w górę, w górę, w górę, a patrzą się co chwila na niego i na siebie i uśmiechają czule. Wznosił się ku wysokiemu szczytowi, gdzie stanęli razem, ale jak to we śnie bywa, sam nie wiedział, dlaczego znalazł się nagle przed chatą swoją, do której drzwi były zamknięte tak, że nijak dostać się do niej nie mógł. Zdawało mu się, że szarpie wejście coraz mocniej i mocniej, aż nagle usłyszał:

– Obudź się, Józefie.

Zerwał się ze snu głębokiego na równe nogi i zrozumiał, że to nie on szarpał, tylko jego budzono w ten sposób.

Przed nim stał Zygmunt Wyrwicz.

Widział go dzisiaj na pogrzebie matki i w pierwszej chwili nie rozpoznał, a był to dawny znajomy nieżyjącego ojca. Przypomniał sobie, że widywał go w dzieciństwie i fascynował go wtedy ten mądry i bogaty człowiek. Ojciec nie był wykształcony, nie miał bogactw żadnych, ale był przez Wyrwicza niezwykle szanowany i widział to nawet mały wówczas Józef.

Niespodziewany przybysz spojrział serdecznie na umęczonego chłopca, szczupłego, z podkrążonymi oczyma i w tych oczach zobaczył to samo światło, które dostrzegał u swojego przyjaciela. Nosił Wyrwicz w sobie ogromną wdzięczność wobec ojca Józefa, któremu długi za uratowane od niewoli życie nie spłacił.

Jak nic siedziałby teraz na Syberii, gdyby nie nadszedł ratunek i gdyby garstka chłopów, na czele z Olsiewiczem, nie wydarła go z rąk ruskiej straży, która złapała go z bibułą na drodze do Woropajewa* i już wiodła do cyrkułu.

– Rozmówić się z tobą przyszedłem w ważnej sprawie – powiedział Wyrwicz.

* Woropajewo – miasto na Wileńszczyźnie.

– Proszę usiąść, bardzo proszę – Józef zatroszczył się o przybyśszą, nie bardzo rozumiejąc, co go sprowadziło do niego samego, kiedy już ojciec i matka pomarli, a on sam przecież, kimże on jest, żeby tak zacny pan miał do niego interes.

– Widzisz, Józiuta, rozmawiałem z ciotką twoją Anną Zawiszą, a to w sprawie przyszłości twojej i twoich sióstr. Ciotka z mężem swoim postanowili, że dziewczynki wychowają i sami swoich dzieci nie mając, przyjmą je jako swoje. O tobie pomyślałem z moją żoną, że już masz swoje lata i byłoby lepiej dla ciebie, żebyś nie siedział tu sam jeden, tylko zechciał z nami zamieszkać w Postawach*, więcej zobaczyć, poznać... Hmm, a co myślisz o propozycji?

Józef zamarł, nie mógł pojąć, że to, co słyszy, jest prawdą, że to o niego chodzi. Opadł na krzesło i oparłszy ręce o stół, uchwycił w nie silno głowę.

– Och – wyrwał się z niego jęk. – Ja nic nie myślę – odparł żałośnie, wyraźnie przygnębiony i cierpiący. Dzień ten był najtrudniejszym do przeżycia, a ostatnie miesiące były równie trudne. Wszystko przeżywał na bieżąco, dzień za dniem mijały i nie miał czasu na myślenie o sobie.

Wyrwicz, widząc zakłopotanie Józefa, szybko kontynuował to, co zaczął.

– Oczywiście, ty się spokojnie zastanowisz, pomyślisz o tym, co powiedziałem, ale pamiętaj, że my z żoną bylibyśmy bardzo radzi móc w jakikolwiek sposób dopomóc ci. Już przyszłością się nie martw... już nie martw.

To już całkiem nie mieściło się w głowie Józefa, który o przyszłość do tego czasu nigdy się nie martwił, mało tego, nie myślał o niej, ale rzeczywiście, nie był to czas podejmowania decyzji. Przytaknął więc, że tak, że przemyśli to i podziękował Wyrwiczowi za okazaną troskę i wspianałomyślność, a gość słuchając tych kurtuazji pomyślał, że może

* Postawy – miasto na Wileńszczyźnie.

za wcześniej chłopcu zawracał głowę. Zanim życie zacznie toczyć się dalej w młodym człowieku, czas uspokojenia musi potrwać, a póki co, żałoba w nim panuje i nie ma na nic innego miejsca.

Kończył się dla Józefa dzień pełen przeżyć i wielkiego cierpienia z rozłąki z matką, dzień, kiedy kochające się osoby splata świat tak żywych, jak i umarłych. Niezwykły to stan, w którym nie wiadomo, gdzie człowiek chce być, kroczy wszak po ziemi, a miłość, którą darzy zmarłą osobę, pociąga go w wieczność i sięga daleko w świat duchowy. Chociaż wie, że zostać tam nie może, to jeszcze szuka wspólnoty z duszą odeszłą do Boga i pocieszenie znajduje u stóp Tego, który jest obecny i w tym, i w tamtym świecie, u Tego, który zawsze JEST.

*M*ijały dni, podczas których Józef sprzątał dom. Uporządkował wszystko, a co niepotrzebne spalił. Nawet najgłębsze zakamarki przejrzał i ogarnął, a ściany wewnątrz chałupy pobelił.

Siedział na łóżku któregoś kolejnego rana i rozmyślał, nagle wstał, podszedł do starej, pakownej okutej skrzyni i podniósł jej ciężkie wieko.

Wyciągnął z niej skórzane, z wysokimi cholewami, stare buty ojca. Przymierzył, podskoczył i uznał, że będą dla niego dobre.

– Dorosłem już – powiedział sam do siebie.

Ojciec Józefa, Jan Olsiewicz, był ranny w zamieszkach czasów Powstania Styczniowego, wówczas, kiedy na Litwie rządy sprawował straszny Murawjow*, Wieszatielom nazywany.

O tym Wieszatielu ojciec Józefa opowiadał, że mawiał on, iż nie należy do tych, których wieszają, ale do tych, którzy wieszają. Mówił

* Michał Murawjow – rosyjski generał, gubernator wileński w czasie tłumienia Powstania Styczniowego (1863–1865), ze względu na sposób wykonywania wyroków zwany Wieszatielom.

także, tenże Wieszatelnik, że przydatni dla Rosji Polacy, to powieszeni Polacy. Nigdy od ojca się nie dowiedzieli, jak doszło do poranienia, wiadomo tylko, że zamieszki były, bitwy i potyczki zbrojne i że Jan wcześniej kontakt z partyzantką utrzymywał. W pamięci mieli tylko nazwisko ważnego człowieka, o którym Olsiewicz wspominał, a brzmiało ono: Dalewski*. Jakie łączyły ich relacje, co ważnego miał wykonać Jan Olsiewicz, nikt się nigdy tego nie dowiedział, może oprócz żony Łucji, która na ten temat nie wspomniała nawet małym słówkiem, dając do zrozumienia, że mówić o tym nie będzie. Ojciec nigdy już nie doszedł do siebie, rany były zbyt poważne i dolegliwości trwały, osłabiając coraz bardziej zapadającego na zdrowiu mężczyznę. Po długiej chorobie zmarł, pozostawiając żonę, która będąc wątłej kondycji, bardzo krótko jeszcze żyła i w dwa lata osierociła czworo dzieci.

Zdjął buty i obłożywszy stopy flanelowymi onucami, ponownie je włożył.

W skrzyni mieściły się świąteczne ubrania nieżyjącego ojca. Stanowiły pamiątkę, ale wobec ciągłej biedy, matka trzymała je dla syna, czekając, aż dorośnie. Józef wyciągnął jeszcze sukienne spodnie ze zwężanymi nogawkami, wiązane w pasie, lnianą koszulę bez kołnierza zawiązywaną pod szyją troczkami i marynarkę z kołnierzem. Wszystkie ubrania uszyła dla ojca matka. Widział ją w pamięci, jak przy oknie do światła siedziała i lekko mrużąc oczy, dłużyła igłą z delikatnym uśmiechem na twarzy. Na samym dnie skrzyni leżała ojcowska peleryna z dużym kapturem, zmierzył ją, była do pół łydki i ta długość wyraźnie mu odpowiadała. Uszyta była z wełnianego, bardzo grubego sukna, a do tego podszyta przez matkę lnianym płótnem. Myślał, że nic już nie ma w skrzyni, ale zobaczył jeszcze na dnie jakieś przedmioty. Rozpoznał ojcowską skórzaną torbę z paskiem na ramię i sięgnął po nią z zainteresowaniem większym niż po ubra-

* Tytus Dalewski – polski działacz patriotyczny, jeden z przywódców Powstania Styczniowego na Litwie (1863–1865).

nia. Gdy ojciec wracał do domu z wyjazdów, zawsze w tej torbie miał coś dla dzieci. Ostatni raz jak wrócił, był poraniony i słaby, wszystko na nim było brudne i skrwawione, a przytroczona do siodła końskiego torba nie interesowała już dzieci. Otworzył ją teraz ze wzruszeniem i spojrzął do wnętrza, było puste, nie zawierało niczego. Przez myśl przebiegły mu słowa matki, słyszał, jak mówiła je do ojca:

– Przecież nic to nie zmieni, po co to wszystko, nie jedź, Janku, proszę, proszę.

– Cichaj Łucyjko, cichaj – uspokajał ojciec i zawsze robił swoje, a matka z trwogą czekała jego powrotów.

Gdy wrócił po raz ostatni, pielęgnowała go, milcząc i nie narzekając. Pamiętał, jak czuwała przy nim nocami, ukradkiem popłakując. Wszystkie ubrania, w których wrócił, wyczyściła, poprała i czekały na powrót Jana do zdrowia, ale on już nie wydobrzeał.

– Chroniła nas wszystkich i wypróżniła nawet torbę, żeby śladu nie było po konspiracji ojca – pomyślał o matce.

Odłożył torbę i sięgnął po tajemniczą, jak ojciec mówił, „francuską” manierkę. Oczy mu się zaszklily. Przypomnił sobie, jak kiedyś ojciec wrócił do domu i pozwolił mu ją ponosić, bawił się wtedy w spragnionego wody poszukiwacza skarbów na pustyni. „Dosiadając” kija, obiegał podwórze i wołał: „Wody, wody, wody!”. – To było jakby wczoraj – pomyślał z rozrzewnieniem.

Usiadł na podłodze i opierając się o skrzynię, oglądał to „cudo”, które tak ożywiło wspomnienia. Przypominał sobie, jak ojciec przyniósł ją, znalazłszy w lesie, i cieszył się jak dziecko, że skarb uświadczył cenny.

Jak Napoleon szedł na Moskwę, ziemie tutejsze doświadczyły wielu nieszczęść od przechodzących głodnych wojsk. Józef słyszał opowieści dziejowe od starszych ludzi, którzy bezpośrednio na sobie odczuli przejście Francuzów. Pamiętali oni, jak z całym swoim dobytkiem zmuszeni byli chronić się na bagnach przed rabunkiem ze strony wojskowych, do dziś pozostały pobudowane tam kryjówki

i miejsca przetrwania. Nie dość, że Francuzi żywność ludziom zabierali, to przede wszystkim konie, których nie potrafili utrzymać i co chwila zdychające pozostawiali w olbrzymiej liczbie po drodze. Najgorsze, że i sami żołnierze tracili życie, zwłaszcza z głodu i chorób. Nie otrzymawszy od swoich pomocy, pozostawiani na stracenie, umierali porzuceni.

– Pozwól, Janie, daj, zobaczysz, tak będzie lepiej – matka tłumaczyła ojcu, że warto uszyć na manierkę „ubranko” filcowe.

– Zawracanie głowy, Łucyjko, niepotrzebna mi jest ta manierka, ale podoba mi się. Zobacz, jak to pomyśleli ci Francuzi, żeby takie przedmioty robić ze stali, a nie lepiej, żeby to miedziane było? Miedź zdrowa, wodę zachowa dobrze, przecież to wiadomo od lat... Hmm, pewnie nie potrafią. No, ale jest, to się przyda... ale cudo – zachwycał się ojciec.

Matka uszyła „ubranko” z filcu i był to bardzo dobry pomysł, bo woda w środku zachowywała dłużej swoją temperaturę. Józef zdjął je teraz ostrożnie z manierki i przyglądał się, jak też Francuzi wykonywali to ojcowskie „cudo”.

Manierka była stalowa, ocynkowana, w kształcie owalu, spłaszczona od góry i od dołu. Miała dwa otwory na górze, jeden był mniejszy, a drugi większy, a oba były mocno zatkałe koreczkami na sznurkach umocowanych do bocznych uszek manierki, do których był też przymocowany skórzany pasek.

– Cudo – głośno stwierdził Józef, napełniając manierkę wodą i odłożywszy ją na bok, zabrał się do posiłku przed podróżą. Nie było już w domu niczego oprócz słoniny i kawałka suchego chleba, który jadł, maczając w wodzie.

Gdy skończył posiłek, włożył na siebie ojcowskie ubrania, zapakował do torby słoninę i swój kozik, wziął ojcowski kubek cynowy, przymocował manierkę Francuzów, zgarnął jakieś niezbędne drobiazgi przygotowane wcześniej i usiadł na zydlu. Był gotowy do opuszczenia pustego rodzinnego domu.

Cała chudoba z gospodarstwa była już za choroby matki wyprzedana i zjedzona.

Ukląkł, jak w zwyczaju miał ojciec przed każdym wyjazdem z domu, i pomodlił się głośno i pobożnie. Czując powagę chwili, powierzał się Bożej Opatrzności i prosił, by zawsze wiary ojcowskiej dochował.

– Tak mi dopomóż Boże Ojcze Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci – wypowiedziawszy modlitwę, zakończył ją znakiem krzyża świętego i powstał z klęczek.

Drzwi domu zamknął na skobel, furtę bramy zasunął i ruszył różnym krokiem. Wiedząc, że opuszcza dom już na zawsze, zerknął kątem oka w jego kierunku, ale nie chcąc nawet przed sobą samym okazać tkliwości, mocniej zaczęła stawiać kroki w butach spadkowych po ojcu.

Szedł na przełaj, znając dobrze miedze i ścieżynki, które szybciej doprowadzić go miały do zamierzonego celu. Pogoda była wyjątkowo ciepła, jak na marzec. Zboczył z drogi do lasu, gdzie wiedział, że strumień bije.

Słońce było już wysoko, gdy wszedł do boru sosnowego, w którym wiatru nie było czuć ani trochę. Powietrze stało nieruchomo.

– Las bez okien – pomyślał z uśmiechem, zmierzając do miejsc, które było bardziej porośnięte zielenią. Las nie szumiał, królowała w nim cisza, bo i ptactwu leśnemu o tej porze nie chciało się fruwać, ani śpiewać. Światła słonecznego bardzo mało przebijało się przez stare korony sosen, które rosnąc zbyt gęsto, wysoko pięły się do promieni.

Słyszał tylko trzask łamanych gałązek i świszczące pod nogami igliwie.

Przyspieszył kroku.

Po chwili usłyszał mruczenie, szmer jakiś – to jakby delikatne dzwoneczki, jakby brylantowe kamienie przesuwały się wody źródlane i niczym diamenty rzucały chwilami iskierki odbitych, z trudem przedostających się promieni słonecznych. Po kamykach o ob-

łych kształtach, wodą przez lata obrobionych, pędził czysty jak kryształ strumień. Wymył już dawno ziemię, na boki ją przesuwał, oczyścił mijane po drodze korzenie, dla siebie przysposobił koryto, żeby pomieścić się cały i wypłynąwszy gdzieś spod ziemi, pędził do dalszych miejsc, wszystkim dając nie tylko orzeźwienie, ale i zdrowie przynosząc w swojej żywej wodzie.

Zachwycony widokiem czystego strumienia Józef schylił się i obmył w nim dłonie, a następnie nabrał bardzo zimnej wody i uniósł do spragnionych warg. Nie wyjmował kubka, nie potrzebował, wystarczyły mu własne ręce. Wydawało mu się, że już się nasycił i przestawał pić, ale po chwili ponownie nabierał błyszczących kryształów i pił, i pił, i pił. Już odchodził, a jednak znowu wracał. Ugasiwszy pragnienie, usiadł na brzegu i przypominał sobie, jak to ludzie mówili, że gdy kto w chorobie podupada, to trzeba go napoić żywą wodą ze strumienia, to i zdrowie, i siły wrócą, ale trzeba pić, aż do całkowitego nasycenia. Na wszelki wypadek napił się jeszcze raz ze zdroju i ruszył w dalszą podróż.

Po godzinie wszedł z pól w szerszą drogę z koleinami, po jej bokach ustawione były płoty z długich nieokorowanych żerdzi przyrębowanych do wbitych w ziemię palików, a w oddali, sponad drzew owocowych, sterczały słomiane dachy i kominy domów w Panfilowszczyźnie*. Za wsią, po lewej i prawej stronie, ciągnęły się gęste, bardzo błotne lasy, przez które wiejska droga biegła dalej na północ. Wioska, składająca się z kilkunastu gospodarstw, tętniła życiem. Słychać było odgłosy z mijanych obór i podwórek, a to zwierzyny, a to dzieciaków, których pełno było wszędzie.

Dziatwa z ciekawością wyglądała na drogę, żeby przyjrzeć się przybyszowi. Z jednej bramy wypadły dwie dziewczynki i oblapiły Józefa z radością, piszcząc i szczebiocząc jednocześnie – były to siostry Józefa, Agatka i Elżbietka.

* Panfilowszczyzna – mała wieś na Wileńszczyźnie.

Chłopak, stęskniony za rodziną, cieszył się, że doszedł do domu ciotki, gdzie mieszkają jego krewni. Rozpromieniony i roześmiany od ucha do ucha, po raz pierwszy od wielu miesięcy wyglądał na szczęśliwego, ale rozglądał się jeszcze wokół, szukając ukochanej, najmłodszej Paulinki. Spostrzegł, jak uchylają się drzwi domu i wychyla się z nich śliczna złotowłosa dziewczynka.

– Paulinko maleńka – zawołał radośnie do dziecka, podbiegł do niej i schwycił na ręce, tuląc ją mocno do siebie. Była najmłodszym dzieckiem Łucji i Jana Olsiewiczów, miała niecałe pięć lat.

– Józiuta! – zawołała. – Ty gdzie byłeś? Nie ma ciebie i nie ma, a ja szukałam cały czas. Józiuta... jesteś – objęła go rączkami, a jemu łzy stanęły w oczach ze wzruszenia i serce ścisnęło się na myśl, że będzie musiał zostawić to ukochane dzieciątko, tę kruszynkę, którą wylulał na swoich rękach i którą ukochał najmocniej, i od której czuł się tak kochany.

Późnym wieczorem, kiedy dzieci już spały, usiadł Józef do poważnej rozmowy z siostrą matki, Anną.

– Ciociu droga, ja chciałem cioci podziękować serdecznie.

– Za cóż ty mi dziękować chcesz, Józiutko – odezwała się ciotka. – Bóg tak chciał. Ty sam nadźwigałeś się trudu straszego, ja niewiele ci mogłam pomóc – westchnęła.

– Oj, ciociu, co też ciocia mówi, dziewczynki miały... mają tu dom i opiekę, to tak dużo... to wszystko..., ja do końca życia nie wywdzięczę się, dziękuję – wypowiedział te słowa i rzucił się do stóp ciotki, za ręce schwycił i ucałował je z szacunkiem. Chciał wszystko zrobić jak należy, chciał, żeby rodzice w niebie wiedzieli, że zrobił to, co powinien.

– Taka trudna sytuacja nas spotkała, to nic, żeście krewni, nie musieliście, a jednak szlachetnie przygarnęliście dzieci, sieroty, z dobrego serca. Niech dobry Bóg wam za to zapłaci – dziękował wzruszony, całując dłonie ciotki.

Anna знаła Józiutę i bardzo ceniła go za szlachetność i dobroć.

Wiedziała, że wyjątkowy z niego młodzieniec, któremu nie w głowie były psoty i zabawy, który przez swoją postawę wykazał się dojrzałością większą niż niejeden dorosły.

Ze swojej strony Anna zrobiła, co mogła, przyjęła pod swój dach dzieci siostry, gdy ta obłożnie zachorowała i po jej śmierci nad nimi przejęła opiekę. Własnego potomstwa jeszcze nie miała i ufała, że podoła, razem z mężem, wychowaniu trzech dziewczynek, chociaż trud to wielki będzie i obciążenie, przyjmowała go jak obowiązek, który spadł na nią, jako siostrę, z woli nieba.

– Wola Boża. Cicho, cicho Józiu, wiem, że ci ciężko, wiem... wstań, dziecko – powiedziała do niego głosem podobnym do matki, a jemu serce ścisnęło się z tęsknoty za rodzicielką. Wstał, nie dając poznać po sobie wzruszenia. Szybko przeszedł do innego tematu, bo rozczulenie dławilo mu krtań, a chciał ciotce pokazać swoją dorosłość i odpowiedzialność, żeby mając pod opieką jego rodzeństwo, chociaż o niego była spokojna.

– Zostanę u was, jeśli trzeba co pomóc, a później ruszę dalej w drogę... do Postaw.

– Czy ty zamýślasz iść do Wyrwiczów? – spytała cichym głosem.

– Tak ciciu. Dom i całe gospodarstwo zostawiam na zawsze dla was. Jest posprzątane w środku, wybielone... to już wasze, zróbcie z nim, co chcecie – odpowiedział, a po chwili dodał głosem stanowczym, pewnym, jakby to nie była ważna decyzja:

– Skorzystam z propozycji pana Wyrwicza i pójdę do niego.

– Oj, Józiu – ciocia Anna westchnęła wzruszona.

– Niech ciocia się nie martwi o mnie, on mi pomoże zdobyć jakiś fach, przescholę się, to zarobię coś pieniędzy i wam pomogę.

– Syneczku, taki jesteś dobry i taki dzielny. Nie myśl ty o nas, obyś poradził sobie w obcym, o mój Boże, takim niebezpiecznym świecie – zamartwiała się o niego szczerze. – Jakbyś chciał, to i z nami zostać możesz, twoja wola, tyle że rozmawiałam z panem Wyrwiczem i myślę sobie, że ty tam więcej zdobędziesz. Pan Zygmunt to niezwy-

kle szlachetny człowiek i jak zechciał cię zaprosić, i obiecał pomoc, to pomoże, trzeba korzystać z otwartych drzwi na świat, a nawet jak jest lęk i strach przed tym, co obce, to zaufać trzeba Bogu.

– Tak, ciociu – powiedział jakby do siebie, bez przekonania, jakby pytając, ale z nadzieją, że tak będzie, że sobie poradzi, że wypełni zadane życie, mimo lęku przed niewiadomym.

Szeptali razem jeszcze długo w noc.

Został z rodziną kilka dni, w obejściu pomógł naprawiać dach starej stodoły i pożegnawszy się czule, ruszył w drogę swojego dorosłego życia.

Poranna rosa okrywała trawy, błyszcząc jak szklane koraliki i tworząc kobierce rozesłane po rozległej równinie. Mgła zasnuwała wszystko wokół jak welonem, kładła się na pola, łąki i lasy, otaczała gdzieniegdzie stojące pojedyncze drzewa i kępy krzaków. Jak zza muślinu widać było rozmyte słońce, które gdy mgła opadnie, rzuci przez czyste powietrze snopy promieni, ostro i gorąco dosięgając nimi nawet najmniejszych zakamarków. Wtedy, przy braku powiewu, trudno będzie iść podróżnemu, który odziany w ciężkie buty i grubą marynarkę maszeruje, oddychając rześkim jeszcze na razie powietrzem.

Józef bardzo wczesnie wstał tego dnia, opuszczając ostatnie znane sobie miejsce. Obejrzał się jeszcze za siebie i przez chwilę popatrzył na pozostawioną w oddali wieś.

Młode serce zaczęło walić mocno w piersi, krtań ścisnęła szloch, a z oczu mimowolnie polały się piekące, wielkie jak grochy łzy.

– Gdzie ja idę? – wypowiedział te słowa łkając i szybko zamilkł, nie chcąc ich słyszeć, bo w ciszy czuł więcej pewności siebie.

– Lepiej nie wiedzieć, gdzie, co i jak, trzeba iść do przodu, a choćby i bezmyślnie – dodał sobie odwagi.

Mijał pola i wsie, wyszedł już za Mosarz*, w którym pozostał jego kościół, i pomyślał, że nigdy dalej nie był, wszystko przed nim było teraz nowe, obce i niepewne.

Szedł dróżkami przez lasy i pola, żeby jak najdalej od gościńców, na których więcej obcych spotkałby, a niedoświadczony w zetknięciu z policją carską, wolał zrobić wszystko, żeby jej uniknąć, bo też ta potocznie zwana ochrana, już niejednemu zniweczyła plany.

Na bezdrożach jednak nigdy nie było bezpiecznie, bywa przecie, że i ci, co niecne zamysły mają, wybierają ubocza do przemieszczania, toteż należało zachować ostrożność i nie być lekkoduchem.

Szedł milcząc. Mijane miejsca starał się zachować w pamięci, bo gdy będzie odwiedzał krewnych, a zamierza chociażby raz na rok, przyda się znajomość trasy. Rozmyślał nad cudownością przyrody, nad zapachami natury, które wraz z nadchodzącą wiosną pojawiały się coraz częściej.

Idąc tak, zaobserwował z dala białe cienie obłoków, a po chwili widział już nadciągające coraz większe chmury, które z każdą chwilą zaciągały się bardziej na niebie, gęstniały i zniżały, do ziemi przybliżając. Wielkie chmury, jak pierzyny puchate, całe w kolorze granatu przechodzącego w szarość czarniejącą, groźnie pomrukiwały, pokiwały i dawały znać, że pokażą, oj, pokażą swoją siłę.

– W marcu, gdy są grzmoty, zboża ponad płoty – Józef przypomniał sobie, jak matka mawiała.

Chłopak rozglądał się od jakiegoś czasu, szukając schronienia przed nadchodzącym deszczem i burzą. Wiedział, że niebezpiecznie jest chować się pod samotnym drzewem, a z daleka dojrzał ich kilka razem stojących. Wygląd miały drzew owocowych.

* Mosarz – wieś na Wileńszczyźnie. W tutejszym kościele pw. świętej Anny od 1838 r. znajdują się relikwie świętego Justyna, wcześniej, od 1754 r., przechowywane w Miadziole w kościele oo. Karmelitów. W miejscowości mieści się folwark rodziny Piłsudskich.

– Jak nic musi i domostwo jakieś tam się skrywać – pomyślał i ruszył w kierunku drzew bardzo szybkim krokiem.

Rzeczywiście, za małym sadem owocowym było siedlisko, niestety pożar strawił większą jego część, pozostawiając jedynie sterzące zgliszcza.

– Co robić, co robić? – rozglądał się, gorączkowo ścigając z nadchodzącą burzą i szukając miejsca na schronienie. Wyszukiwał oczyma bystro patrzącymi ziemianki, bo przeważnie każde gospodarstwo taką miało. Po drugiej stronie zgliszczy zauważył pagórek porośnięty trawą i krzaczkami, ponad którymi sterczało także kilka młodych brzoźek. Ruszył więc w tamtą stronę, zaszedł od tyłu wzniesienia, schodząc w dół, gdzie było obniżenie terenu i pomimo coraz większych ciemności zobaczył ucinającą pagórek ścianę z ułożonych warstwa po warstwie wielkich polnych kamieni i futrynę zrobioną z kłóców grubego drewna, a w niej zawarte drzwiczki. Kilka metrów przed drzwiami ziemianki zaczynał się krzaczasty gąszcz bujnych, kłujących wąsów jeżyn i malin, który dalej przechodził w rozłożyste leszczyny i głogi. Żywa zaporą ukrywała schronienie i Józef ucieszył się, że tutaj trafił. Pchnął lekko zmurszałe wejście i oczom chłopca ukazało się ciemne wnętrze, którego nie potrafił dobrze obejrzeć, dopóki nie przywykł do ciemności. Buchnęło ze środka zimne, ziemią pachnące powietrze. Dostrzegł, że w głębi jest dużo miejsca i kilka grubych dech leżących na kamieniach. Zamknął za sobą dokładnie drzwi, bo deszcz mocnymi kroplami padał już na dworze, a grzmienie burzy było prawie nad nim. Zdjął kilka desek z kamieni i ułożył je na ziemi. Przygotował sobie w ten sposób legowisko. Torbę położył pod głowę i przykrył się ojcowską peleryną. Małą chwilę myślał o tym, że mu ciepło i przytulnie pod przykryciem, szybko jednak zmorzył go sen twardy i głęboki. Burza na zewnątrz szalała, grożąc z wysoka i wysyłając pioruny, jakby obrażona, że uciekł jej wędrowiec, że deszcz zmoczyć go nie może i że zasnął nieświadom jej złowieszczonego wygrażania.

Spał snem kamiennym, nie słysząc szarugi, której końca nie było widać. Rozpłakane niebo wylewało nagromadzone wody na przesuszoną, spragnioną ziemię. Nie była to dobra pogoda do wędrowania, ale też Józefowi wcale nie spieszyło się do nowego, nieznanego miejsca. Sen przyniósł mu ukojenie, poukładał jakoś życiowe problemy i pomagał uspokoić to, co wzburzone, niespokojne.

Ile czasu spał, nie wiedział, nagle, przez sen jeszcze, usłyszał jakiś dziwny chrobot i to blisko niego. Uniósł się lekko na swoim posłaniu i przez chwilę nasłuchiwał, chcąc rozeznać, co słyszy, nagle zerwał się i aż krzyknął przerażony, zatykając sobie jednocześnie usta ręką:

– Boże mój!

W mroku ziemianki, prawie tuż obok siebie, zobaczył leżącą postać. Pomimo rumoru, jaki Józef zrobił, zrywając się gwałtownie, obcy spał.

– Nie musi być groźny – pomyślał chłopak. – Spałem jak wszedł i nic mi nie zrobił... schował się tak jak ja, uciekając przed deszczem – uspokajał się całkiem rozważnie, nie wpadając w panikę. Jednak nie potrafił już spokojnie się położyć, nie bardzo też pasowało mu wychodzenie z ziemianki w deszcz ulewny. Przyklęknął więc na deskach i próbował dojrzeć więcej szczegółów w mroku piwnicy.

Obcy był bardzo schludnie ubrany, nie wyglądał na obwiesia, ani na dziada. Sprawiał wrażenie niewiele starszego od Józefa. Buty miał solidne i przykryty był równie dobrą, jak dla wędrowca, peleryną. Na twarzy miał zarost, jasne wąsy i brodę, bokobrody, ale nie rosnące byle jak, tylko uregulowane, a brwi zrosnięte. Głowę trzymał na dużej torbie, a peleryną był okryty prawie po uszy. Ponownie rozległ się dźwięk, który go wcześniej obudził. Zrozumiał, że to z ust śpiącego wydobywały się niewyraźnie brzmiące słowa.

– Gada przez sen – uśmiechnął się spokojniejszy już Józef. Przestraszył się jednak po chwili, gdyż leżący zaczął się szarpać i wołać głośno, niezrozumiale.

- Co się dzieje, pijany czy co?

Józef powolutku nachylił się w kierunku śpiącego, chcąc sprawdzić, czy czuć alkohol, poczuł jednak, że od nieznanomego bije gorąco, sięgnął ręką do czoła obcego i po chwili zrozumiał, że jest on w malignie.

Westchnął głęboko. Znowu choroba przy nim, znowu pomoc jest potrzebna, a nie ma nikogo, kto by to zrobił, tylko on, Józef. Musi coś wymyślić, przecież nie zostawi obcego nieprzytomnego, w gorączce.

Sięgnął po swoją pelerynę i otulił nią chorego. Wyciągnął z torby kozik i rozejrzawszy się po ziemiance wybrał najgorszą deskę, którą postanowił zamienić w szczapki. Pracował wytrwale, rozdzierając wilgotne od ziemi drewno, szczęściem przynajmniej nie było zmoczone deszczem. Przypatrywał się dawniej, jak matka pomagała ojcu w chorobie i umiał pomóc, gdy ona zachorowała. Znał sposoby na ból i gorączkę i wiedział, jak jej zaradzić, w dodatku był na to przygotowany.

- Masz ty człowieku szczęście, że na mnie trafiłeś - mruknął po cichu sam do siebie, nie przestając pracować.

Z deski nałupał dość sporą ilość szczapek. Dobrze, że ludzie mieli w zwyczaju budować ziemianki, mające paleniska i dymniki - wszystko mógł przygotować, nie wpuszczając do środka zmoczonego przez deszcz, wilgotnego powietrza. Potrzebował zgotować wodę. Miał jej w starej francuskiej manierce całkiem jeszcze dużo.

- Wystarczy - pomyślał, poruszając manierką.

Na palenisku ułożył stosik ze szczapek i kamienie, na których postawił swój cynowy kubek z wodą.

- Masz ty, człowieku szczęście, oj masz - mruczał pod nosem.

- Wykaraskam cię z tej biedy, wykaraskam.

Pakując się do wyjścia z domu, wybierał wszystko to samo, co ojciec brał, wychodząc w świat na dłużej. Miał zapakowanego błyskoporka* z brzozy, który to grzybek niszczy biedne drzewo,

deformuje i pasożytuje na nim, a wysuszony staje się wspaniałą hubką, którą maleńka nawet iskierka błyskawicznie rozpala. Grzybek trzymał razem z krzemieniem i krzesiwem w skórzanym woreczku, który miał zawieszony na szyi, dla bezpieczeństwa, żeby w razie czego nie zamókł, miał tam także kilka piórek, żeby uzyskać łatwo płomyk.

Wziął do ręki krzemień i ułożył na nim grzybek, przytrzymując palcami, zaczął teraz uderzać krzesiwem w krzemień, a powstająca iskra rozżarzyła błyskoporka. Józef szybko odłożył krzesiwo i przyłożył do żaru piórka, które chwyciły płomień i dały początek ogniowi podpalającemu ułożone na palenisku szczapki. Wszystko wykonywał w wielkim napięciu, bał się, czy zapamiętał dobrze nauki ojca, który uczył go, jak radzić sobie w potrzebie bez niczyjej pomocy. Na szczęście wszystko poszło dokładnie tak, jak oczekiwał i za chwilę woda w kubku wrzała. Zdjął ją z żaru, ale ogień zostawił płonący, żeby zagrzać powietrze w ziemiance i żeby choremu było ciepłej.

Do cynowego kubka wsypał szczyptę suchej, sproszkowanej kory wierzbowej, którą zabrał z domu rodzinnego, a którą zrobił dla matki z młodych gałązek wierzby i podawał jej, gdy gorączkowała, i gdy ją bolało. Uznał, że ten proszek to panaceum na wszystko, dlatego zabrał nieużyty z opuszczanego rodzinnego domu jako zabezpieczenie dla siebie w razie nagłej potrzeby.

Zdjął szybko filc z manierki i zakrył nią kubek, żeby zaparzyć korę.

Nie gorącym, ale jeszcze bardzo ciepłym naparem spróbował napoić chorego. Nie było łatwo, bo chory w malignie machał rękami, wyrывał się, jakby przestraszony i nie pozwalał się unieść. Józef spróbował więc innego sposobu. Wziął delikatnie rękę leżącego i zaczął tłumaczyć:

* Błyskoporek – grzyb pasożytujący najczęściej pod korą brzozy, nazywany inaczej czarną hubą.

– Słuchaj, człowieku! Jesteś chory, masz gorączkę, majaczysz. Chcę ci pomóc, podam ci lekarstwo, musisz wypić – po czym powoli położył dłoń mężczyzny i zaczął go lekko unosić na rękę, a drugą ręką podawał mu do ust wywar. Chory zaczął posłusznie pić. Lekarstwo nie było smaczne, ale wypił wszystko.

Józef ułożył go ponownie na pościeli, dokładnie otulając pełerynami. Usiadł obok, patrząc w tłumę się jeszcze szczapki, a po chwili ułożył głowę na swojej torbie i zasnął.

Minęła noc, minął dzień i kolejna noc.

Józef rano i wieczorem podawał nieznajomemu lekarstwo.

W dzień wychodził z ziemianki, szukał po lesie źródeł, żeby samemu napić się wody i uzupełnić manierkę.

Dużo się modlił i rozmyślał, czuwając przy chorym. Po raz pierwszy w życiu czuł się niezależny. Nikt na niego nie czekał, do nikogo nie musiał się spieszyć, nikt nie wymagał niczego od niego, a jedynym jego obowiązkiem był ten chory, którego pilnował. Przyjrzał się dokładnie ruinom spalonego domu, oglądał, jak był posadowiony, jaki miał obrys, ciekawiło go, z jakiego został wykonany drewna. Zdumiał się, że był z modrzewia, musiał być piękny, co też mogło się wydarzyć, że jest spalony? Szukając strumienia, który znalazł w głębi lasu, poznał mniej więcej okolicę. Czuł się tu już dobrze i bezpiecznie. Głodu nie doświadczał. Ciocia Anna napełniła jego torbę sucharami i kiełbasą, a on jadł jeszcze słoninę ze swojego domu wziętą.

Kolejna noc minęła, aż obudził go nagle głos nieznajomego:

– Gdzie ja jestem?! Kto tu?!

– Spokojnie, nie bój się. Wszystko w porządku – powiedział łagodnym półgłosem, żeby nie przestraszyć chorego.

Obcy w napięciu przyglądał się mu, wyraźnie wzburzony. W oczach miał niepewność i lęk.

– Ktoś ty?! – spytał twardo i surowo.

– Zdrowie ci ratowałem. Nie bój się – uspokajał chorego, jak

mógł – uciekłem tu przed burzą i zasnąłem, nie wiem, kiedy ty wszedłeś. Miałeś gorączkę, majaczyłeś ciągle.

– Mówiłem?! Co mówiłem?! – nieznajomy wyraźnie się zaniepokoił.

– E tam, mówiłeś... majaczyłeś bez ładu i składu, nic nie rozumiałem. Przestań krzyczeć, ślęczę przy tobie jak niańka już dwie noce, gdyby nie moje napary, źle by z tobą było. Uspokój się.

– Co mi dawałeś? – zapytał zaniepokojony.

– Cudowny lek, hahaha – zaśmiał się Józef, a poważniejąc, wyjaśnił: – Napar z kory wierzbowej.

Nieznajomy zastanowił się, coś sobie przypominał i po chwili powiedział:

– Dziękuję. Pomogłeś mi, przepraszam.

– Nie ma za co, niech ci na zdrowie wszystko wyjdzie, a ty kto? Zresztą nie mów, bo widzę, że przestraszasz się niepotrzebnie. Mnie wołają Józef – lekko i od niechcienia przedstawił się obcemu.

– Hehehe, mnie też Ziuk – nieznajomy zaśmiał się szczerze.
– Mów, skąd i dokąd idziesz?

Józef opowiedział choremu swoją historię z grubsza, a on wysłuchawszy, powiedział:

– Aaaaa, to taka historia... – i zamilkł, a po chwili dodał: – Moja matka też zmarła... dwa lata temu.

Zamilkli obaj, a po chwili Ziuk zapytał:

– Wiesz ty, gdzie jest Mosarz?

– Przechodziłem tamtędy idąc od Łużek⁸, to i zaszedłem na chwilę pomodlić się, bo to święte miejsce, a ty co, do kościoła idziesz?

– Tak pytam. Daleko jeszcze? – pytał i unosił brwi zrośnięte razem, spoglądając na Józefa nieufnie.

– Nie, tylko trzeba wiedzieć, którądy iść, żeby nie wejść w bagna.

– Dam sobie radę.

* Łużki – mała wieś na Wileńszczyźnie.

- Chwila, chwila, jeszcze nie teraz, musisz leżeć, nie spiesz się, bo i tak nie dasz rady na nogach ustać. Suchary mam, zrobię napoju, podkarmię cię, pogadamy - rzucił Józef.

Chory już tego nie słyszał, zasnął ponownie, choroba i słabość zmogły go, nie tak szybko będzie szykował się do drogi.

Józef znowu nie miał z kim rozmawiać, ale ostatnimi miesiącami przyzwyczał się do milczenia. Zastanawiał się, kim też jest chory, bo po prawdzie to on sam opowiedział jemu o sobie dokładnie wszystko, a ten drugi to tylko, że jest Ziuk i że interesuje go Mosarz, tyle..., a może aż tyle?

- Jak to jest, że tak szczerze wszystko opowiedziałem o sobie? - dumał. - Nie mówiłbym, gdybym miał coś do zatajenia, a chory nic nie opowiedział. Wynika z tego, że ma coś do ukrycia, na pewno. Wyzdrowieje i każdy pójdzie w swoją stronę - pomyślał i przypomniał sobie, że idzie w miejsce nieznane, do obcych osób - Czy one też będą skryte, jak ten tutaj? - myślał. - Może ja za dużo mówię? Może jestem za bardzo odkryty?

Józef uznał, że nie będzie obcego wypytywał, to nie jego sprawa.

Chory, leżąc, często obserwował Józefa, czasem coś podpytał, a to czy mu dobrze na świecie, czy wszystko się mu podoba, a czy chciałby coś zmienić, a jeżeli, to jakim sposobem?

Józef czuł, że chory nie jest biedny, że nawet leżąc, chętnie rządzić lubi i jest władczy, wymaga posłuszeństwa.

Pomyślał sobie nawet, czy gdyby leżący nie był chory i w potrzebie, to czy rozmawiałby z nim, niemającym niczego sierotą?

Spędzili razem w ziemiance cztery dni i rozstali się, a każdy poszedł w swoją stronę. Na pożegnanie Ziuk wyciągnął rękę do Józefa i pod wąsem mruknął zdawkowe podziękowanie.

- Dziękuję za troskę. Jakbyś był kiedy w potrzebie, to zwróć się do mnie - i ruszyli w swoje drogi.

Józef zastanawiał się, gdzie by to miał w świecie szukać Ziuka, o którym nic więcej nie wiedział, tylko że on Ziuk, i idąc leśną dróżką,

roześmiał się w głos, a echo leśne porwało ten śmiech i nagle zerwały się do lotu wszystkie ptaki, zatrzepotały skrzydłami spłoszone, jakby strzał się rozległ i dał sygnał do ucieczki.

Wiedział, że gdy słońce zacznie zniżać się po południu, powinien dochodzić do miasta.

Celowo szedł wolnym krokiem – odwlekał moment, kiedy życie zacznie się dla niego jakby od początku, a w każdym razie będzie na pewno inne.

Czuł spokój, wolny był od obowiązków, nigdzie się nie spieszył. Miesiące spędzone przy łożu chorej matki były bardzo trudne i wobec tego obciążenia wszystko inne wydawało się błahostką. Trudno mu było na początku przyzwyczaić się do pustki, jaka męczyła go bez matki, do tęsknoty, ale zamienił ją na czułe, pełne ciepła wspomnienia, które były dla niego kołysanką, ukojeniem i tajemnym schronieniem.

Za chwilę Postawy pokazały swoje pierwsze domy. Niczemu zbyt nie przyglądał, starał się iść swobodnie, jakby przechodził tymi ulicami już setki razy, nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Doszedł do rynku i przez chwilę zachwycił się przysadzistymi kamienicami o pełnych, barokowych kształtach, balkonikami z finezyjnie zdobionymi poręczami przy niektórych oknach, łukowato krzywymi się frontami zwężającymi się u szczytu, ale już po paru minutach zaczął się rozglądać, w którą uliczkę ma wejść. Pan Zygmunt wytłumaczył mu drogę od ryneczku i dokładnie opisał bramę. Józef dostrzegł rychło opisane wierzeje bramy do podwórza. Były stare, dębowe, bardzo wysokie, a w nich mieściła się niska, zmurszała lekko furтка; pchnął ją. Wszedł w długie podwórze, kończące się drugą